

Od czasu kryzysu w strefie euro jesteśmy świadkami wielu tendencji dezintegracyjnych w UE. Najbardziej spektakularną jest brytyjskie referendum mogące doprowadzić do opuszczenia Wspólnoty przez pierwsze państwo. Niektórzy specjaliści dowodzą, że jedynym sposobem opanowania kryzysu migracyjnego jest przywrócenie kontroli granic, a więc odejście od układu z Schengen.

Już obecnie kryzys spowodował wprowadzenie kontroli m.in. w Austrii, Danii, we Francji, w Niemczech, Szwecji i na Słowacji. Węgry i inne kraje dodatkowo zbudowały zasieki na granicach. Toczy się dyskusja o tym, że strefa euro nie ma zdolności politycznych do przeprowadzenia niezbędnych reform. Dlatego pojawiają się głosy wycofania się i z tego projektu lub przynajmniej jego ograniczenia tylko do najbardziej konkurencyjnych państw. W Wielkiej Brytanii i w Niemczech mamy debatę nad ograniczeniem unijnej swobody przepływu osób. Nie brak także głosów o potrzebie wycofania się z innej swobody UE, tj. przepływu kapitału, czemu ostatnio dał wyraz Wolfgang Münchau na łamach „Financial Times”. Coraz więcej analityków powątpiewa w korzyści integracji lub nie ma nadziei na jej dalszy rozwój.

Nasila się dezintegracja

Być może największym skutkiem kryzysu strefy euro jest zmiana mechanizmów funkcjonowania UE. Dostrzegają to naukowcy z najlepszych ośrodków akademickich na świecie. Ich zdaniem polega ona na wzroście znaczenia instytucji międzyrządowych w stosunku do pozostałych instytucji unijnych, a także wzmocnieniu roli największych państw. Instytucje wspólnotowe, zwłaszcza Komisja Europejska, nie zawsze uosabiają dobro całej Unii lub kierują się nadrzędnym interesem europejskim. Przestają być oparciem dla podmiotów słabszych, które przejawiało się m.in. w naturalnej tendencji do hierarchii między państwami większymi i bogatszymi a tymi mniejszymi. Kryzys upolitycznił te instytucje w ten sposób, że zmniejszyła się ich autonomia wobec najbardziej wpływowych rządów.

[mc4wp_form id="84"]

Wszystko to ma poważne konsekwencje dla praktyki funkcjonowania UE. Prawo i procedury unijne są w większym stopniu podatne na wpływy państw, zgodnie z ich interesami i adekwatnie do ich siły politycznej. Przykładem są choćby trzy kolejne prolongaty dostosowań fiskalnych udzielanych przez Komisję Francji, w sytuacji kiedy słabsze państwa nie zawsze mogą liczyć na podobną życzliwość. Instrumenty europejskie są częściej narzędziem hierarchicznej władzy jednych państw nad

drugimi, zwłaszcza nad tymi słabszymi lub mniej pokornymi politycznie. Tak było w przypadku Grecji wobec rządu Syrizy mającego opinię eurosceptycznego, a także ostentacyjnie krytycznego wobec niemieckiej polityki oszczędności. Musiał on w końcu przełknąć drakoński pakiet reform narzucony przez stronę europejską, a w istocie forsowany przez wierzycieli na czele z rządem w Berlinie.

Nasilają się więc tendencje dezintegracyjne w Europie, a także pogarszają warunki dla prowadzenia polityki europejskiej przez państwa mniejsze lub słabsze gospodarczo. Rozpoczęcie procedury naruszenia wartości UE zainicjowane z początkiem nowego roku przez Komisję dodatkowo utrudni polskiemu rządowi działania na arenie unijnej. Zdaniem specjalistów jest to procedura w dużym stopniu upolityczniona, na co wskazuje to, że na żadnym etapie nie uczestniczy w niej Trybunał Sprawiedliwości UE. Najważniejsze decyzje podejmuje za to politycy najwyższego szczebla – szefowie rządów lub głowy państw członkowskich. Procedura pozostawia też duże pole do interpretacji i jest nietransparentna – w większości odbywa się za zamkniętymi drzwiami. Daje więc okazję do gry politycznej, w tym również wywierania nacisków przez aktorów najbardziej wpływowych w UE.

Choć procedura istnieje od traktatu amsterdamskiego, a więc od 1999 roku, została uruchomiana po raz pierwszy. Dodatkowo szanse, aby zakończyła się sankcjami wobec Polski, są znikome, gdyż w Radzie Europejskiej zapewne nie będzie jednomyślności w tej sprawie. Dlaczego więc została w ogóle uruchomiona?

Przyczyn należy szukać w sferze polityki. W ostatnim czasie rośnie w wielu państwach UE klimat eurosceptyczny. Do władzy dochodzą ugrupowania niechętne praktyce funkcjonowania integracji w ostatnich latach, określane jako populistyczne albo antyestablishmentowe. Komisja była w ostatnich miesiącach poddana wielu naciskom, aby bardziej zdecydowanie reagować na tego typu zagrożenie.

Dla nikogo nie jest też tajemnicą, że nowy polski rząd ma krytyczne stanowisko wobec wielu inicjatyw unijnych, a także coraz chłodniejsze relacje z najbardziej wpływowym państwem członkowskim. Swoiste „grillowanie” tego rządu przy okazji omawianej procedury ma więc ostudzić animusz polskich ministrów i zwiększyć ich uległość wobec różnych inicjatyw pojawiających się na arenie unijnej. Upolitycznienie całej procedury polega również na tym, że Komisja, chcąc nie chcąc, wchodzi w gorący spór wewnętrzny w Polsce. W pośredni sposób procedura unijna będzie wspierała opozycję, która, co warto przypomnieć, ma bardziej proeuropejskie poglądy niż partia rządząca i lepsze relacje z Berlinem. Długofalowo procedura nie jest jednak korzystna, w tym również dla kolejnych polskich rządów, gdyż ustanawia

nowe standardy w relacjach Brukseli z Warszawą.

Postępowanie Komisji nie jest pozbawione ryzyka. Może bowiem potwierdzić podejrzenia, że jest ona bardziej instrumentem w zakulisowej grze aniżeli niezależnym arbitrem stojącym na straży wartości unijnych. Co więcej, może uruchomić spiralę procesów, które wzmocnią eurosceptycyzm w Polsce, pogłębiając zwłaszcza związek między poglądami prawicowymi a tymi sceptycznymi wobec Brukseli wśród wyborców. Może to skutkować zgoła odmiennymi skutkami od zakładanych. Zamiast wzmocnić Unię i jej wartości, może otworzyć kolejny front w procesach dezintegracyjnych w Europie.

Dwa modele

Rozpoczęta procedura stawia też w centrum uwagi pytanie o strategię polskiego rządu wobec UE. Klimat zewnętrzny jest niedobry, dodatkowo zyskują na sile tendencje dezintegracyjne w Europie. Również sytuacja wewnętrzna jest trudna, gdyż konflikt rządu z opozycją został przeniesiony do polityki europejskiej. Są to uwarunkowania, które bardzo utrudniają kształtowanie polityki w sprawach unijnych.

Do tej pory mieliśmy w naszej części Europy praktykowane dwa modele takiej polityki. Pierwszy reprezentuje Donald Tusk, który oparł swoją strategię na bliskich relacjach z Berlinem i europejskim mainstreamem. Jego sposób działania w Europie polegał na budowaniu wizerunku doskonale zeuropeizowanego przedstawiciela nowych państw członkowskich. Drugi model reprezentuje Viktor Orban, który nie stronił od wchodzenia w spór z instytucjami unijnymi, w tym również niejednokrotnie ostro krytykował politykę Berlina. Jego strategia europejska bazowała na obronie węgierskich interesów, w tym ich realizowaniu pomimo sprzeciwu wpływowych grup zachodnioeuropejskich. Istotnym celem rządu w Budapeszcie było bowiem zwiększenie autonomii w polityce gospodarczej.

Trudno rozstrzygnąć, która strategia jest bardziej skuteczna. Nie można Tuskowi odmówić tego, że nie zabiegał o polskie interesy, choć barierą w jego strategii było, jak sądzę, to, aby nie kolidowały one nadmiernie z interesami partnerów po stronie UE oraz jego proeuropejskim wizerunkiem.

W butach Orbana

Różnice między obydwoma modelami dotyczą więc nie tylko stylu uprawiania

polityki, ale również zakresu podejmowanych spraw. Tuskowi udawało się wiele, ale tylko do pewnego momentu. Przykładem mogą być negocjacje nad wieloletnimi ramami finansowymi Unii na lata 2014–2020. Tusk wprawdzie zrealizował swoją obietnicę pozyskania 300 mld złotych, ale na politykę spójności Polska otrzymała mniej funduszy (liczonych w cenach stałych z 2011 roku) niż w poprzedniej perspektywie finansowej.

Nowy polski rząd wchodzi, jak się wydaje, w buty premiera Orbana. Warto jednak pamiętać o kilku dodatkowych cechach charakteryzujących jego politykę.

Po pierwsze, pomimo wielu sporów toczonych na arenie unijnej, Orban potrafił ustąpić w krytycznych momentach.

Po drugie, był pragmatyczny i poszukiwał wsparcia w najbardziej wpływowych kręgach politycznych. Właśnie dlatego jego ugrupowanie wstąpiło do Europejskiej Partii Ludowej, tej samej, do której należy Tusk i kanclerz Angela Merkel.

Po trzecie, naczelną zasadą Orbana wydaje się to, aby nie otwierać zbyt wielu konfliktów naraz. Skoro spierał się z Niemcami, szukał przyjaciół gdzie indziej. Warto przypomnieć, że starał się o jak najlepsze relacje z Rosją, a także szeroko otworzył Węgry na kapitał chiński.

Wreszcie konsekwentnie budował trwałe relacje w Europie Środkowej.

Źródło: Rzeczpospolita. [Czytaj dalej...](#)